Nr. 34. We Lwowie dnia 26. sierpnia 1900. Rok 8.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bolesław Limanowski.

I.

W roku bieżącym kończy się czterdziestoletni okres pracy naukowo-literackiej jednego z najzasłużeńszych i najsympatyczniejszych naszych uczonych i publicystów — Bolesława Limanowskiego.

Urodził się on w powiecie Dynaburskim w 1835 r. Dzieciństwo jego przypadło w epoce najsroższych prześladowań na Litwie za czasów Mikołaja I. Okoliczność ta odbić się musiała na uczuciach i umysłowości naszego autora, który w ciągu całego swego życia zawsze twierdził, że Moskwa — to wróg nasz największy.

Po ukończeniu gimnazjum Limanowski przeniósł się na uniwersytet moskiewski na wydział lekarski.

W Moskwie kształciło się wówczas wielu Polaków, Warszawa bowiem nie miała wtedy swego uniwersytetu; z tej to epoki wyszli stamtąd tacy wybitni ludzie, jak Korzon, Karłowicz, Bukowski i inni.

W Moskwie Limanowski bawił do r. 1858, następnie przeniósł się do Dorpatu na wydział filozoficzny. W ten sposób, posiadając już podstawy przyrodnicze, autor nasz rozpoczął głębsze studja z dziedziny filozofji.

Ale wypadki polityczne, rozgrywające się w Europie, nie pozwoliły Limanowskiemu, obdarzonemu bogatą, wrażliwą naturą, na przedłużanie studjów naukowych.

Zachęcony odgłosem zwycięstw Garibaldiego, z któremi łączył się plan utworzenia legji polskiej, Limanowski opuszcza Dorpat i przez Niemcy i Belgję udaje się do Paryża.

Tu staje się gorliwym uczniem polskiej szkoły wojskowej, jednocześnie pracuje na polu naukowem i literackiem i wtedy też ogłasza pierwsze swe prace, między innemi życiorys Emilji Platerówny w lwowskim „Dzienniku Literackim“.

W Paryżu Limanowski uczęszczał na niektóre wykłady, zaczął też studjować ekonomję polityczną.

Wypadki, jakie się rozgrywały w zaborze rosyjskim, spowodowały wyjazd naszego autora z Paryża. Przez większe ogniska życia polskiego wrócił on na Litwę do Wilna w ostatnich dniach kwietnia 1861 r.

Działalność polityczna pochłonęła Limanowskiego. Wkrótce stał się członkiem pierwszego komitetu centralnego na Litwie. Po manifestacji zorganizowanej w Wilnie w dzień św. Stanisława, aresztowano Limanowskiego wraz z Benedyktem Dybowskim i po kilkumiesięcznym pobycie w więzieniu, wysłano do gubernji Archangielskiej.

W odludnym Mezeniu i Archangielsku autor nasz spędził lat pięć.

W ciągu tego czasu Limanowski pracował ciągle. Pisywał sprawozdania do pism, zajmował się również historją prowincji, w której chwilowo zamieszkiwał.

Wybuch powstania 1863 r. skłonił Limanowskiego do przedsięwzięcia próby ucieczki, która się jednak nie udała i zakończyła kilkumiesięcznem więzieniem.

W r. 1867 pozwolono Limanowskiemu z powodu nadwątlonego zdrowia przenieść się do gubernji Woroneskiej, do miasteczka Pawłowska, o dość łagodnym klimacie.

W gubernji Woroneskiej było wielu Polaków, zarówno zesłanych, jak i mieszkających tam dla zarobku. Wtedy autor nasz poznał przyszłą swą żonę Wincentę Szarską, którą po latach kilku zaślubił.

W następnym roku amnestja Aleksandra II., wydana w Wierzbołowie, umożliwiła Limanowskiemu powrót do kraju.

Wrócił też do Warszawy i odtąd datuje się czynniejsza jego praca na polu literackiem.

W tym czasie „Przegląd Tygodniowy“ sku-

piał postępowych pisarzy. Tam też Limanowski ogłaszał mnóstwo artykułów mniejszych rozmiarów. W Warszawie pozostawał Limanowski do wybuchu wojny francusko-niemieckiej.

Rozpoczynająca się wojna ożywiła nadzieje Polaków. Limanowski, jak i wielu innych, sądził, że przyczyni się ona do wznowienia kwestji polskiej w Europie, opuścił więc zabór rosyjski i wyjechał za granicę.

Najpierw zatrzymał się w Krakowie, następnie z powodu braku środków materjalnych wyjechał do Lwowa, sądząc, że tu łatwiej mu będzie zarobić na utrzymanie.

Tu pracował jako dziennikarz, pisując do „Gazety Narodowej“, „Dziennika Polskiego“ i „Dziennika Lwowskiego“; tu też wydał prace naukowe: „Dwaj znakomici komuniści Tomasz Morus i Tomasz Campanella“, „Socjologja Augusta Comte'a“. Dwa odczyty: „O kwestji robotniczej“ w stowarzyszeniu „Gwiazda“, ściągnęły na Limanowskiego prześladowania c. k. policji.

Stosunki z młodzieżą galicyjską i z zaboru rosyjskiego, agitacja socjalistyczna z Mańkowskim i Danilukiem zaprowadziły go, po aresztowaniach 1877 roku do austrjackiego więzienia. Uwolniono go, lecz w roku następnym kazano uczonemu „obcokrajowcowi“ opuścić na zawsze ziemię polską.

Wraz z rodziną Limanowski wyjechał do Szwajcarji i tam dopiero, pomimo jak najgorszych warunków materjalnych rozwinął największą działalność społeczno-publicystyczną.

Zaczął wydawać bibljotekę socjalno-demokratyczną, w skład której weszły następujące prace: „Patrjotyzm i socjalizm“, „Polityczna a społeczna rewolucja“, „Ferdynand Lassalle“, „Manifest towarzystwa międzynarodowego do ludności rolniczej“. Znalazłszy się w Szwajcarji, Limanowski początkowo wraz z innymi emigrantami pracował w „Równości“, pierwszym miesięczniku socjalistycznym. Wkrótce jednak zarysowały się różnice w poglądach.

Limanowski od samego początku stał na gruncie narodowym, żądając niepodległości Polski i będąc jednocześnie socjalistą. Redakcja zaś „Równości“ była wówczas z przekonań kosmopolityczną. Skutkiem tego Limanowski wystąpił z niej.

W Szwajcarji autor nasz napisał swoje większe, najcenniejsze prace: „Historję ruchu społecznego w drugiej połowie XVII w.“ „Historję ruchu społecznego XIX. wieku“, „Historję powstania 1863 i 1864 roku“, „Galicję“ i inne.

Limanowski zasilał swoimi artykułami doskonały miesięcznik lwowski „Przegląd społeczny“, wychodzący niestety tylko $1\frac{1}{2}$ roku.

Po stracie pierwszej żony, w 1887 roku Limanowski ożenił się powtórnie z byłą swoją uczenicą, panną Goniewską.

Znękany niepowodzeniami materjalnemi, nadaremnie szukając zarobku to w Genewie, to w Thun, to w Zurichu, to w Paryżu, Limanowski przyjechał w r. 1893 do Galicji, chcąc osiąść tu na stałe. Mąż silnej ręki a ciasnej głowy uznał jednak za stosowne wydalić naszego autora. Limanowski wrócił na zachód. W Paryżu znalazł zajęcie w towarzystwie asekuracyjnem New-York, w któ-

---

W połowie Sierpnia.

Dzień jest łagodny, przyjemny, ciepły, a nie gorący. Upał już nie odstrasza i można pójść na wystawę...

Jeszcze wystawa! Jeszcze iść na wystawę i opowiadać o niej i pisać? A, nie! nie, dosyć!

Bogiem a prawdą, nie tak znów bardzo się na nią chodziło i nie zna się jej całkiem dokładnie, ale — osłuchało się do przesytu!

Sześciomiesięczna królowa — szopka. — Weszło tu w zwyczaj krytykować ją co nie miara: „a chaos! a farsa! a blaga!“ Zapewne, zapewne, a jednak tymczasem króluje ona tu w wielkiem mieście, bo dla niej się przecie tutaj przyjeżdża i o niej w kółko pisze, i czyta, i słucha, i gada.

Za parę miesięcy urwie się władza jej tymczasowa i krótkotrwałe królestwo zagaśnie, ale teraz codziennie przepływają po niej tysiące ludzi. Tłumy coraz to inne: były, przeszły i nie powrócą.

A ona? A jej się może wydaje, że będzie... wieczna? Kto wie, co sobie myśli... wieczorem, późnym, późnym wieczorem, kiedy nareszcie tłumy odejdą i światła poumierają, a ona ogromna, po obu brzegach Sekwany siedząca, w ciemności zostanie — sama. Przy blasku dziennym i świadkach wygląda mocno zadowolona. Ba! naturalnie! jak kompilacja każda i blaga.

Że kompilacja, to kompilacja, bo czego tu przecie niema? Różnorodna, dziwaczna, jaskrawa, śmieje się w słońcu do słońca i wobec ludzi, wobec świadków ciekawych wygląda tak z siebie — rada.

* * *

Jedno jest miejsce, dokąd przychodzić można często i często. W wielkim pałacu sztuki „grand palais des beaux arts“ pośrodku wystawa rzeźby, dokoła na obu piętrach galerje obrazów. Ten środek, to jakby rodzaj sieni ogromnej, wysokiej, oszklonej. Spojrzeć na to z górnego piętra: dziwny widok, doprawdy dziwny; cały las białych postaci przeróżnych, niepodobnych do siebie, powyginanych tak rozmaicie i pełnych ruchu wielkiego, a nieruchomych.

Z góry widziane to wszystko stanowi chaos tłumny i jasny.

I jeszcze jedno: stanowi akord z dysonansem ogromnym.

Bo sąsiadują tu przecie tak bardzo blizcy, a

rem dotychczas pracuje ciężko, odrywając się od prac naukowych.

W latach po 1889 Limanowski brał czynny udział w wydawnictwie „Pobudka“, które stojąc na gruncie socjalistycznym, jednocześnie silnie akcentowało dążności narodowe i stawiało w programie żądanie niepodległości Polski.

Poznawszy w ogólnych zarysach czynne, pełne treści życie Limanowskiego, przejdźmy do jego prac naukowo-publicystycznych.

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

(8) Obraz historyczny.

—✻✻—

V.

Przybkowie nie należeli do rodzin najbogatszych w Ujezdzie. Siedziba ich też niczem nie zwracała na siebie uwagi. Dom drewniany, dawne pamiętający czasy, poczynał chylić się ku starości. Mur, zaopatrzony w furtkę, otaczał przednią stronę podwórza. Tuż zaraz obok furtki wznosiły się wrota z gontowym daszkiem, wspartym o grube drewniane słupy.

W podwórzu i na placu pustka. Dzień był niedzielny, godzina popołudniowa i każdy rad przesiadywał w domu, w ciepłej izbie.

Ale Marynka Przybkówna stroiła się w drogę do miasta [1]). Stała u otwartej skrzyni, malowanej w kwiaty, wypełnionej odzieniem, chustkami i płótnem o żywych barwach, na które padało teraz światło przez drobne szyby okienka. Światło padało też na dziewczynę, na jej pyszne, rozpuszczone włosy, jako len jasne, miękkie, falujące, a tak długie, że sięgały niemal ziemi. Marynka należała do najpiękniejszyśh dziewcząt we wsi, ciemne, błyszczące jej oczy umiały patrzeć, uśmiech ukazywał zęby nieskazitelnej białości, najcudniejsze jednak były włosy, które teraz właśnie spływały płowo złotą falą na jej ramiona.

Dziewczę dzieliło je na pasma i przetykało czerwoną wstążką.

Marynka tak bardzo zajęta była strojeniem się, że nie zwróciła najmniejszej uwagi na wró-

[1]) Chodowie nazywali Domażlice wprost miastem, jak Podhalanie np. Nowy Targ.

---

tak niezmiernie obojętni dla siebie. Każdy w sobie żyjący, a otoczeniu jest obcy; odrębny, oddzielny i najzupełniej samotny.

Nieinaczej jak w świecie istotnym i w życiu tem naszem, ludzkiem, codziennem i smutnem.

Tylko bardziej zaznaczone i przez to o wiele jeszcze — smutniejsze.

Tu i tam postać każda ma wyraz własny i pożądanie swoje... dla innych niesympatyczne lub obce.

Ale w życiu ruch bywa zmianą jako idąca fala, a tutaj, a tutaj jest przecie stężenie ruchu.

Wyraz każdy oddzielny, raz uchwycony, skamieniał; dlatego potężniejszym się zdaje i bardziej mówiącym i bardziej samotnym.

„Co mi do innych, do tamtych? ja tylko to wiem, że jestem“.

Całość wywiera niemal bolesne wrażenie: biedny tłum ów, tak pełny pożądań różnych, a nigdy...

Jakowyś ogrom tęsknego wołania od tego chaosu idzie.

Niedaleko od wejścia znajduje się grupa, dzieło jakiegoś Włocha: przedstawia Adama i Ewę. Biedacy! widocznie przed chwilą zapadły za niemi drzwi raju.

Ewa smukła a miękka, zgięła swe piękne ciało w poczuciu winy, w wyrazie gorzkiego żalu. Twarzą do ziemi przyległa, a włosy rozsypały się lekkie dokoła. Adam na biodro jej rękę położył i siedzi oparty o to przegięte ciało, przygnębienie w postawie jego ogromne.

Ba! utracenie raju — nie fraszka! Na pierwszych odczuwających przygnębienie opuściło dłoń swoją ciężką, niezmiernie ciężką.

Dalej góruje ponad innemi i wzrok gwałtownie uderza grupa nietylko największa, ale... wrzaskliwa i niespokojna. Zdaje się krzyczeć ta masa. Rodzaj pomnika: wysokie to bardzo i pełne figur allegorycznych. Po jednej stronie na przedzie trąbiący genjusz skrzydlaty, po drugiej..., ale tu głowę potrzeba zadrzeć z wysiłkiem, by het u szczytu zobaczyć Wiktora Hugo. Jakaś niewiasta, czy muza coś tam do niego mówi.

Postacie allegoryczne szamocą się, niepokoją.

Spokoju.

Ten cały gipsowy świat nie wie, co spokój jest, nie wie! nie wie!

A może chciałby to wiedzieć? Przecie tak wiele w nim namiętności i męki, że utrudzony czuje się chyba do śmierci. A więc, szukajmy, bo

bla, co ćwierkał głośno za oknem, siedząc na obnażonej, wiatrem chwierutanej gałązce. Natomiast usłyszała wnet, gdy drzwi naprzeciw skrzypnęły i ktoś wyszedł z głównej świetlicy do sieni. Zarzuciła była właśnie na siebie czerwoną suknię, w gęste fałdy zebraną, jęła więc teraz tem szybciej ją zapinać. Z sieni słychać było odgłos kroków, przechadzającego się po niej mężczyzny. Nagle ucichły. Ów stanął zapewne — oczekuje, wygląda...

Uśmiech, mimowolny a szczery, opromienił twarz dziewczyny. Tak wesoło jej było na sercu, tak się cieszyła z wycieczki do miasta, która dziś zwłaszcza zapowiadała się nader mile. Po południu przyszedł do nich w odwiedziny stryj Pajdar z Poczynowic — stryjeczny brat ojca — i przyprowadził ze sobą młodego Szerlowskiego, także z Poczynowic.

Marynka poznała tego ostatniego w jego wiosce, gdy bawiła tam z matką u przyjaciół. Rok minął od tego czasu, ale nie zapomniała o tej bytności swojej w Poczynowicach. Nie mogła. Wówczas po raz pierwszy widziała Szerlowskiego, po raz pierwszy z nim mówiła. Później spotykała się z nim dość często w mieście, w kościele. Zawsze rad z nią rozmawiał. A teraz przyszedł do nich, do Ujazdu. Tak niespodzianie! Ukłóło ją w samo serce, gdy go zobaczyła... Własnym oczom wierzyć nie chciała... Miły to był przestrach... Domyślała się, że nie przypadkiem tu zawitał, lecz że przyszedł do niej i dla niej!

I jak się to wszystko znakomicie składa! Dziś właśnie wybiera się do kościoła, a on, wracając ze strykiem Pajdarem do domu, będzie jej towarzyszył. Teraz przechadza się w sieni, oczekują, aż ona wyjdzie z komory. Milej mu tam samemu, niż w towarzystwie innych w izbie...

Takie i tym podobne myśli snuły się w główce uradowanej dziewczyny. Wesoła piosenka, którą wpierw nuciła, urwała się jej na ustach na odgłos kroków w sieni. Natomiast z tem większym pośpiechem kończyła się ubierać. Na kształtnej wysokiej piersi skrzyżowała barwistą chusteczkę, kibić otoczyła paskiem, wyszywanym w zielone listki, wśród których migały drobniutkie lusterka, niby gładka powierzchnia wód w ciemnej zieleni.

Marynka się nie myliła.

W sieni przechadzał się rzeczywiście młody Szerlowski, chłopak, jak panna urodziwy, a śmigły, wybujały! Po chwili przystanął i utkwił oczy w niskich, niemalowanych drzwiach, trzema krzyżami oznaczonych u góry. Te drzwi ciągnęły go. Miał ogromną pokusę zapukać do nich, uchylić je choćby na końdecek [1]). Wszak Marynka zdążyła już chyba odziać się. Tak długo się stroi! Mógłby teraz właśnie pomówić z nią sam na sam, jak pragnął tego oddawna, jak się tem cieszył. Jeżeli zwlekać będzie dłużej, ktoś może wyjść do sieni, lub jego zawołają do izby...

Posunął się ku drzwiom i znowu przystanął, pełen niepewności i wahania.

— Maryś! — zawołał nareszcie stłumionym głosem — Maryś!

Gorąca fala krwi opłynęła mu czoło. Nagle drgnął. Drzwi uchyliły się znienacka i ta, którą przywoływał głosem i tęsknicą serca, stanęła w progu, strojna, uśmiechnięta, spłomieniona...

[1]) Trochę.

---

w świecie tym rozmaitym znajdzie się także i finał jego i spokój. Widzimy fragment z owego słynnego „pomnika umarłych“ na Père Lachaise. Oto jest bolów ból, a zarazem ukojenie wszystkiego i kres.

Widzimy jakoby wejście otwarte kędyś do pustki. Ku drzwiom tym dziwnym zdają się ciągnąć wszystkie boleści największe i wszystkie nędze ziemi.

Dwa szeregi ciał ludzkich niepokojem pogiętych, połamanych tęsknotą, potrząsanych ogromem bojaźni, rozpaczy, żalu. Wydłużone, wychudłe, cierpiące i biedne wiążą się one wzajemnie poruszeniem wspólnem do kresu. Tylko ruch ten nie idzie — a zdaje się na kolanach posuwać i czołgać.

Ruch — ból i bojaźń.

Ruch — płacz i pognębienie ostatnie.

A tam przez drzwi te otwarte, do tajemnicy otwartej zstępują, którzy przybyli. Dwoje ich obok stojących; twarzami zwróceni są kędyś, ale te z pleców widziane postacie mówią potężnie wiele.

Obiedwie piękne, smukłe i młode. Pochylona postawa mężczyzny zdaje się tutaj przynosić utrudzenie nadmierne i smutek. „Oto zmęczony jestem — do rezygnacji, a teraz niechaj co chce się tu dzieje, albo i nic nie dzieje... Zmęczenie moje od bólu stało się większe i od rozpaczy nawet już większe. —

„Zenit i kres“.

A prawda, bo rozpacz to jeszcze jest życie, a rezygnacja — to śmierć. Postawa kobiety ma inny wyraz. (Tak, bo nietylko w twarzy jest wyraz, ale może być także wyraz całego ciała).

Otóż w postaci kobiecej ekstaza jakaś niezmierna, a przytem dziwnie bolesna.

Głowa jej podniesiona jakoby niosąca i godność wielką i jakąś cichą pokorę i ufność wielką hen... hen... do kogoś i udręczenie bojaźni.

I źle jej tu tj i dobrze.

I wyrzut w niej jest i wiara.

A owe wszystkie uczucia tak niepodobne i sprzeczne owija i łączy ból.

I tak odchodzą te dzieci ziemskie i dokąd? Wejście otwarte ale nieznane... i powiadają jedni, że nicość, a powiadają drudzy, że wieczność.

Nicość? A nie, to przecie byłoby straszne szyderstwo.

Peréświt.

Wydało się mu, że wszystko nagle zajaśniało dookoła.

— Idę już, idę! — mówiła Marynka wesoło.

— Ino poczkaj, nie śpiesz, do kościoła czas, a my też zdążymy do domu.

— Ale tu w sieni.... zacięła się i spojrzała na drzwi, wiodące do izby.

— Niech ta! nikt nie zauważy... Poczkaj! — dodał prosząco — dość długom wyglądał tej chwili i cieszył się myślą o niej.

Nie ociągała się dłużej — została, jeno drzwi od komory przymknęła za sobą.

Szerlowski patrzał na śliczne dziewczę wzruszonemi oczyma, w których świeciła radość i uwielbienie, zaczem machnąwszy ręką, zawołał żywo a serdecznie:

— Jakbym już słyszał, jako ludzie dziwować ci się będą, gdy pójdziemy do kościoła: „O święta Panienko w niebie, to ci dopiero ładna dziewucha!“

Marynka się zaśmiała.

— Nie potrzebujesz mi prawić słodkich słówek. Zachowaj je dla poczynowskich dziop...

— Co widzę, to widzę. Oczy mię wszak nie mylą. Ale ty mi nie chcesz wierzyć. Może nie znajdę wiary i wówczas, kie powiem, żech wspominał o tobie nie raz i nie dwa...

Powieki dziewczyny opadły mimowolnie, lecz wnet je podniosła znowu. Oczy jej zapłonęły dziwnym blaskiem.

— Maryś — szepnął chłopak, przysuwając się ku niej coraz bliżej — Maryś, powiedz mi szczerą, najszczerszą prawdę, abym mógł stąd spokojnie odejść. Miłujesz już kogo tu, w Ujeździe?...

— Ho, jakiś ciekawy! W sumienie radbyś zaźreć, doznaku jako nasz ksiądz na spowiedzi — zaśmiała się dziewczyna.

— Maryś, lada chwila ktosi wejść może i nie usłyszę, cobym rad wiedział. Wszak potom jedynie przyszedł... Maryś! — dodał nagląco i błagalnie.

Marynka wzdragała się z odpowiedzią, udawała że się namyśla, przypomina. Ale serce biło jej, jak młotem z radości. Ale zaczynało jej być już żal miłego chłopca i gdy powtórzył raz jeszcze błagalne pytanie, odpowiedziała stanowczem: „Nie“, które znaczyło, że nikogo sobie jeszcze nie wybrała. Lecz zaledwie to słowo wybiegło z jej ust, policzki dziewczyny zapłonęły, niby mak polny, a powieki spuściły się w dół, jakby uderzone słońcem pod spojrzeniem Szerlowskiego, który z niewymowną radością uchwycił jej rękę. Od dawna nie zwracał już uwagi na drzwi, wiodące do izby, Marynka też zapomniała nietylko o nich, lecz i o ludziach, którzy się znajdowali za temi drzwiami...

Szczęście jednak sprzyjało młodym. Nikt nie wyjrzał do sieni. Mogli snuć dalej rozmowę o przyszłości, o szczęściu...



TAM.

Zstąpmy do głębi! Fale mórz
Leniwą mają, senną skroń,
A tam, tam na dnie, blaski zórz —
Bezcenne skarby kryje toń.

Zstąpmy do głębi! Szarych skał
Kto skruszył martwy chłodny strój,
Ten — jako Mojżesz, innym dał
Świeży i silny życia zdrój.

Zstąpmy do głębi! Ten mi brat,
Ten tylko serc i duchów pan,
Kto w bliźnich swoich odczuł świat
Nieznanych bólów, skrytych ran.

Zstąpmy do głębi! Nasza pieśń
Po żywych natchnień młody zdrój
Niech idzie tam, przez mgły i cieśń,
Gdzie walka wre, gdzie kipi bój.

Marja Markowska.



CZUWAJ!

OPOWIADANIE MATYLDY SERAO

Z WŁOSKIEGO.

2) PRZEKŁAD EUGENJI ŻMIJEWSKIEJ.

Gdy furgon mijał oberżę w Bagnoli, młoda kobieta, wyglądająca przez okno, cofnęła się z przerażeniem; po chwili wyjrzała znowu zaciekawiona, tylko uczepiła się ramienia kochanka, jakby czując potrzebę opieki.

Gdy furgon mijał łazienki, żona rybaka stanęła osłupiała, a dzieciaki, suszące się na ciepłym piasku, zerwały się i patrzały ze zdziwieniem.

Furgon stanął nad brzegiem. Przez zakratowane drzwiczki wyszedł jeden karabinier-starszy, potem drugi; w głębi wozu było widać jeszcze trzeciego w ponsowym pióropuszu.

Dwaj karabinierzy stanęli po obu stronach furgonu i czekali, rzucając częste a niespokojne spojrzenia na wyspę. Po chwili starszy zajrzał w głąb furgonu, rozmawiał parę minut, wsunąwszy głowę w zakratowane okienko.

Wysiadł trzeci karabinier, wreszcie lekko, nie dotykając nogą stopnia, wyskoczył młodzieniec i stanął ponury w trójkącie, utworzonym przez żołnierzy.

Młodzieniec liczył lat dwadzieścia pięć najwyżej, był rosły, barczysty. Miał cerę matową, mleczną, właściwą kobietom rudym, a na tej twarzy jeszcze bezwąsej świeciły oczy lazurowe, przejrzyste, jak u niewinnego dziecka.

Ubrany był w zielonkawe spodnie, wystrzępione na dole, w stary żakiet brunatny, z pod którego wychodziła gruba koszula; jego płową i gęstą czuprynę zakrywał pogięty kaszkiet.

Pomimo tej nędznej odzieży wyglądał na „coś lepszego“, trzymał się prosto, był spokojny i pełnemi płucami wchłaniał morski podmuch, upajał się widocznie tem świeżem powietrzem.

Ręce miał skute w kajdany; nie były to zwyczajne kajdanki policyjne, nakładane tylko na dwa pierwsze palce u rąk, ani nawet tak zwane „mankiety“, co noszą się na kostkach u rąk — był to prawdziwy ciężki łańcuch, owinięty dokoła rąk dwa razy i zamknięty na dużą kłódkę.

I mieszkańcy willi Carrano i goście oberży i przejezdni na drogach z Pausilippe i Fuorigrotta, wszyscy patrzyli na ten łańcuch ze zgrozą.

Tymczasem młodzieniec był obojętny napozór, wpatrywał się w morze, rozkoszował się jego tchnieniem.

Gdyby nie miał tego łańcucha, nie zwróciłby na siebie niczyich spojrzeń; bez tego łańcucha byłby człowiekiem podobnym do innych ludzi, przybyłym tu z karabinierami dla załatwienia jakiej sprawy sądowej.

Ale ten łańcuch o nieskruszonych ogniwach starczył za jego rodowód, opiewał jego dzieje.

Na co mu się zdała młodość i zdrowie, co mu przyszło z tej białej, delikatnej cery, z tych oczu niewinnych, dziecięcych? Co mu pomoże jego spokojne zachowanie, jego radość ze świeżego powietrza, jego obojętność na otaczających go ludzi?

Co mu z tego przyjdzie, że wygląda spokojnie, że z naiwną ciekawością spogląda na zieloną wyspę Nisidę?

Ten łańcuch ogłasza jego tajemnicę, świadczy, że ów łagodny młodzieniec jest zbrodniarzem, potępionym przez prawa ludzkie.

Owe kajdany spłoszyły śmiech na ustach dzieci, okrzyki, nawoływania rybaków, słowa miłosne, które młoda blondynka szeptała przy oknie; stłumiły piosnkę furmana i trzaskanie biczów na drodze do Puzzoles.

Zgrzyt tych kajdan przejmował całą okolicę dreszczem zgrozy, obdzierał z barw naturę.

Dolina kwiecista i to morze migotliwe, opasujące Nisidę pierścieniem, i wyspa, wyłaniająca się z toni — wszystko zdawało się skute tym łańcuchem, świadectwem krzywdy i zbrodni; sama obecność przestępcy skalała niewinność dzieci, zmąciła spokój ogólny, pozostawiła na nim bruzdę.

Tymczasem od wyspy oderwała się łódź i płynęła ku wybrzeżu. Dwu ludzi w szafirowych koszulach i czarnych beretach robiło wiosłami cicho, prawie tajemniczo.

Gdy łódź przybiła do brzegu z głuchym zgrzytem, wsiadł do niej naprzód jeden karabinier potem drugi, potem skazaniec krokiem zwinnym, nakoniec trzeci karabinier.

Łódź odbiła od brzegu i w tejże chwili czarny furgon zawrócił i potoczył się w stronę Neapolu przez Fuorigrotta.

Łódź mknęła ku wyspie, wioślarze przeginali się w tył — wiosła były im cięższe teraz, niż przed chwilą.

Po tem morzu cudnem, do którego wzdychają kochankowie i poeci, które jest rozkoszą marynarzy, radością dzieci i ubogich, owa łódź płynęła cicho i ponuro, jakby wiozła trupa.

Siedząc tuż przy więźniu, karabinierzy zdwajali baczność. W obawie, by nie wskoczył do wody, topili wzrok w jego źrenicach, bo choć psychologja była im obcą, zdrowy rozum dyktował im, że najskrytsze zamiary człowieka objawiają się w błysku spojrzenia.

Ale skazaniec nie myślał zapewne o ucieczce. Siedział spokojnie i apatycznie, tak samo, jak stał po wyjściu z furgonu; można było sądzić, że miłą mu jest przejadżka po wodzie, na świe-

żem powietrzu, że z przyjemnością buja się na tej łodzi. Trzymał okute ręce na kolanach, wydawał się zadowolonym, spokojnym. Dziwić tylko mogło patrzącego z oddali, że wszyscy na tej łodzi milczą uparcie.

Każda łódka na tych modrych falach, czy to unosząca ludzi strudzonych, czy też spacerowiczów bywa zawsze pełna wesołości i gwaru.

Ale ta, w której siedział skazaniec, była ponura i niema, uginała się jakby pod brzemieniem ludzkiej zbrodni, którą wiozła ku ludzkiemu zadośćuczynieniu.

II.

— Jesteśmy u celu — szepnął skazaniec.

Łódź przybiła do schodów kamiennych, wiodących ku wyspie; przewoźnicy wciągnęli ją i zahaczyli o słup. Eskorta wysiadła w tym samym porządku, w jakim zajmowała miejsce na łodzi, żołnierze wzięli skazańca między siebie.

— Wracamy za chwilę — rzekł starszy karabinier do przewoźnika.

— Dobrze.

Zaczęli się wspinać drogą cienistą, wśród topoli, rozbrzmiewających ptasim rozhoworem. Na dole słały się już cienie, ale oni, idąc wciąż w górę, znajdowali jeszcze światło na wyżynach.

Skazaniec podniósł głowę ciekawie, pił tę jasność, upajał się dźwiękami i barwami natury.

Droga była długa, lecz szła w górę stokiem łagodnym — rzekłbyś aleja parku, wiodąca do wspaniałej rezydencji magnackiej, wzniesionej gwoli zabawie.

Od czasu do czasu pomiędzy bukietami drzew a krzakami róży migotały dziwne błyski. Skazaniec, tak długo zamknięty w czterech ścianach, jak dziki zwierz w klatce, rad był z tej przechadzki na świeżem powietrzu, rozglądał się dokoła i widział tylko zieloność — nie dostrzegał tych błysków złowieszczych.

Szedł, nie zwracając uwagi na swą eskortę.

Wtem coś zaszeleściało za drzewem; jego czujny słuch złowił odrazu ten szelest, oczy błysk dostrzegły i zrozumiał, że to, co rusza się za drzewem — to szyldwach; że to co lśni — to lufa karabinu. I twarz jego powlokła się bladością śmiertelną, schylił głowę — utracił słodkie złudzenie.

Pomimo łańcucha, pomimo swej eskorty, dał się uwieść sielskiemu otoczeniu, zapomniał, gdzie i czem jest. Ta ułuda prysnęła.

Doszli do muru, stanęli przed bramą żelazną, na klucz zamkniętą. Strzegł jej szyldwach.

Starszy karabinier, wyjął z zanadrza jakiś papier, szyldwach otworzył bramę kluczem ogromnym i przepuściwszy więźnia wraz z jego eskortą, zamknął ją w tejże chwili.

Znaleźli się na małym placyku, otoczonym dokoła jednopiętrowymi domkami. Jeden tylko był dwupiętrowy: mieściły się w nim biura królewskich galer w Nisida.

Starszy karabinier, znający dobrze te kąty, bez wahania wszedł do sali na parterze. Umeblowanie jej było skromne: dwa stoły, kilka krzeseł, kanapa, krucyfiks i portret króla. Chudy sekretarz coś wpisywał w ogromne księgi.

— Czy jest dyrektor? — zapytał starszy karabinier.

— Zaraz przyjdzie — odpowiedział sekretarz.

Pisał dalej, nie spojrzał nawet na skazańca.

Wreszcie wszedł dyrektor. Był to człowiek czterdziestoletni, o twarzy łagodnej, lecz poważnej. Karabinierzy oddali mu ukłon wojskowy. On ich przywitał uprzejmie, ogarnął skazańca bystrem spojrzeniem i usiadł przy drugim stole. Starszy karabinier oddał mu jakiś dokument. Rzuciwszy okiem na papier, dyrektor zagadnął skazańca.

— Jak się nazywasz? — spytał.

— Rocco Traetta — brzmiała cicha odpowiedz.

— Czy nie masz przezwiska?

— Przezywają mnie Wiewiórką.

— Gdzie się urodziłeś?

— W Neapolu.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia sześć.

— Czyim jesteś synem? — spytał dyrektor, podnosząc głowę z nad papieru.

— Nieboszczyka Gennaro — odparł przestępca spokojnie.

— Zostałeś skazany za ojcobójstwo — rzekł dyrektor, odwracając oczy ze wstrętem.

Rocco Traetta nic na to nie odpowiedział. Czekał na dalsze pytania.

Tymczasem sekretarz wpisał nowego galernika do księgi.

— Skazany dożywotnie? — spytał dyrektora głosem obojętnym.

— Dożywotnie — odpowiedział dyrektor.

Sekretarz wpisał na ćwiartce papieru:

Nr. 417, czapka ponsowa.

Dyrektor zadzwonił. Wszedł człowiek w szarym kitlu i w czapce czarnej. Dyrektor dał mu kartkę i pokazując zbrodniarza, rzekł.

— Każ go przebrać.

Zadanie karabinierów było już skończone, wypuścili Traettę z pod swej opieki.

Dozorca szedł naprzód, odczytując kartkę, nie zważał na nowego galernika. Mijali ulice szerokie, wysadzane akacjami. W okratowanych oknach było widać doniczki z kwieciem. Wreszcie, przeszedłszy kilka ulic, stanęli pod budynkiem spowitym już w nocne cienie. W głębi płonął ogień, dwóch kowali uderzało młotami w kowadło. Stał przy nich dozorca.

Ubieranie Rocci nie zajęło dużo czasu: zdjęto mu łańcuch i w kąt go rzucono; potem dano mu zgrzebną koszulę, spodnie, kurtkę i kamizelkę z dymki brunatnej, wreszcie czapkę ponsową. Na każdej sztuce był numer 417. Skuwanie w kajdany potrwało dłużej.

— Czy nie za ciasno? spytał jeden z kowali przed umocowaniem obręczy.

— Pasuje — odparł galernik.

Rocco czuł już dotkliwy ciężar na nodze, odparł jednak z fanfaronadą:

— Czy dacie mi jeszcze drugi?

— Nie odparł dozorca. — Możesz zahaczyć łańcuch na pasku.

Jakoż w tym celu do paska przytwierdzony był haczyk. Ale łańcuch, długości metra, nawet po zawieszeniu był bardzo ciężki, a obręcz, ujmująca kostkę, gniotła nieustannie.

Rocco wmieszał się w tłum galerników. Usuwali się od nowego przybysza, nie odpowiadali na jego pytania, spoglądali na niego z ukosa lub też udawali, że go wcale nie widzą.

Dwie najwybitniejsze cechy przestępców, to strach i samolubstwo: strach przed wszystkimi i wszystkiem, samolubstwo niskie, zwierzęce niemal.

Rocco poszedł wraz z innymi do kaplicy, ogromnej, jak kościół, świeżo wybielonej. Zasiedli tam w ławkach dębowych. Jedni modlili się po cichu, gorliwie, chwilami pod wpływem chwytającej ich obawy lub niepokoju głos podnosili; inni udawali, że się modlą, lecz było widać fałsz w twarzach chytrych, bladych, w ustach zaciśniętych, w spojrzeniach lisich.

D. c. n.

Z pism i książek.

(*Potęga wojenna Rosji w świetle najnowszych danych urzędowych — z mapą dyslokacyjną pogranicza zachodniego. Lwów. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego. 1900*).

Gdyby tak najnowszy ten nakład ruchliwego Towarzystwa wydawniczego we Lwowie, wyszedł był przed laty przynajmniej trzydziestu, inne by zupełnie zrobił wrażenie i inne wywołał komentarze. Rozchwytano by zapewne książkę w mgnieniu oka i niejeden ślęczałby na nią całemi nocami, a badałby nasze siły i siły nieprzyjaciela, możliwość zwycięstwa dobrej sprawy i pierwsze ruchy wojenne, gdy trąbka do boju zawoła. Dziś inne czasy: na kanwie polityki światowej nie snujemy chwilowo marzeń naszych przędzy i dlatego też książka o siłach wojennych Rosji wydaje się czemś na razie przynajmniej nic nas obchodzącem. Bo i cóż dowiemy się o wojennej potędze Rosji? że jest ona ogromna i groźna? ależ o tem wiemy już niestety bardzo dawno. Lecz „Potęga wojenna Rosji“, to równocześnie niebezpieczeństwo, które grozi całemu ucywilizowanemu Zachodowi. I z tego choćby względu warto, to pracowicie wykończone dzieło bezimiennego autora przeczytać i stwierdzić, co Rosja w danym wypadku przeciw najbliższym swoim sąsiadom wytoczyć potrafi.

A więc z samej tylko Europy przeszło 4 miljony żołnierzy, nie licząc pułków kaukazkich, syberyjskich i t. d. Bagatela! To coś trochę większego od wędrówki narodów! Wracając jednak do samej książki, zauważyć należy, że dzieli się ona na cztery rozdziały, z których pierwszy omawia podział i dyslokację wojska rosyjskiego w czasie pokoju, drugi organizację na stopie wojennej, trzeci etaty wojenne, czwarty wreszcie i najciekawszy, traktuje o liczebności wojska rosyjskiego na stopie wojennej i o przypuszczalnem jego „*ordre de bataille*“.

Pomijamy wewnętrzną organizację i podział wojska moskiewskiego, bo to rzeczy suche i zbyt fachowo-wojskowe, a zatrzymujemy się tylko na wzmiankowane już „*ordre de bataille*“.

Autor przyjmuje za podstawę (naturalnie przykładowo tylko) mglisty fakt mającej kiedyś wybuchnąć wojny europejskiej i przeciwko Rosji stawia trzech jej najbliższych sąsiadów, a mianowicie Austro-Węgry, Niemcy i Rumunję. Nie można jednakowoż powiedzieć, że by to był przykład dobrze wybrany. Pominąwszy już bowiem nieuchwytną wojnę europejską, gdzieby w danym razie znakomitą stanowiła dywersję rewolucja społeczna, nie uwzględniana wcale przez autora, bardzo trudno jest zbadać, na podstawie jakich spekulacji politycznych połączył autor Rumunję w tak ścisłe przymierze z Niemcami i Austrją. Nic to wprawdzie przykładowi nie szkodzi, ale zawsze te wątpliwości nie dozwalają przejąć się nim należycie i krok w krok za myślami autora postępować.

Otóż w wypadku takim musiałaby Rosja wystawić cztery armje, po jednej w okręgach warszawskim, wileńskim, kijowskim i odeskim. W okręgu warszawskim z powodu potrzeby dłuższego czasu dla skoncentrowania sił występować by ona musiała początkowo odpornie, natomiast mogłaby zaczepnie wystąpić na skrzydłach i w ten sposób pokrzyżować zamiary sprzymierzonych, gdyby plan ich polegał na jak najprędszem opanowaniu Królestwa.

Zadanie zaś armji warszawskiego okręgu polegało by na powstrzymaniu środkowej armji niemieckiej i przeszkodzeniu jej połączeniu się z armją austrjacką. Wojsko okręgu odeskiego walczyłoby z armią rumuńską. Na czterech powyższych teatrach wojennych potrafi Rosja bez najmniejszej trudności skoncentrować 1.675.000 ludzi, 500.000 koni, 1.004.000 karabinów, 138.000 szabel i 4,100 dział. Szkoda tylko, że autor również cyfrowo nie wykazał jakie siły wystawić by mogły Niemcy wraz z Austrją i Rumunią, ale brak ten wynagradza mapka dyslokacyjna pogranicza prusko-austrjacko-rosyjskiego, nadzwyczaj dokładnie i wyraźnie opracowana. Co się tyczy zewnętrznej strony książki, to jest ona, jak w ogóle we wszystkich wydawnictwach „Towarzystwa wydawniczego“ — bez zarzutu.

Fr. Jaw.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego, Lwów, ul. Kopernika 5.